

Siedział na starych nóżkach! Został on przy tym bardzo skocznie poparty przez demagogiczną Włoską, nie deszczową się szmankującą kół naukowych.

W czasie moich studiów uniwersyteckich, począwszy od roku 1902 aż po 1906, miałeś walczyć z podziwem na Riwierze włoskiej. Z tych sześciu tygodni zwykłe połowy czasu mieściłem w małym pensjonacie Signory Antonia, wynajęzionym przez Franciszka Bujaka, który mnie skłonił do studiowania antropologii. W pensjonacie tym zaprzyjaźniłem się z Woldemarem, który tam również przyjeżdżał na wiosnę. Ciekawy ten człowiek, starający się wynikać, że renesans włoski był emanacją krwi germanickiej, odbył wielką ewolucję od egoizmu, poprzez dewinizm do rasizmu. W czasie ostatniego naszego wspólnego pobytu nie wykazywał on już dawnego zapętu do nawracania mnie na swoją wiarę. Ograniżył go wtedy jakis refleksje mistyczno-etyczne. Przyjechawszy następnym razem doowiedziałem się, że wyjechał sam na morze łodzią i utonął. Wszyscy uważali jego śmierć za samobójstwo. Tak przyjaźń z Woldemarem odskonała mi kuławy wódkę mełstów z uniwersyteczną. Uważał on je za osobę liberalnych wpływów żydowskich. Z tych kół pochodziła zresztą tak mi trywialny ludzie, jak na przykład stanzas Lissauer. To wyjechał zresztą niezżywczy stosunek Hiltena do uniwersytec.

Na Kongresach antropologów niemieckich aż do wybuchu wielkiej wojny zwolennicy rasizmu stanowią "drugą stronę", nie ciesząc się ani sympatią, ani też szacunkiem. Róż widać ludzie zorganizowani i przez długie lata terroryzowani przez wielkiego Rudolfa Virchow'a, który na terenie sejmu pruskiego, jako reaktor wojenny, był przeciwnikiem Bismarcka. Za czasów republiki wajmarskiej karierowicze szukałi oparcia bądź w kołach żydowskich, bądź też w katolicach, a najsprzytniejsi starali się uzgodnić poparcia obydwu tych stron. Reszci zaczęli wtedy pozyskiwać sympatię ludzi niezależnych. Nastąpił na Kongresie w Spirze, w roku 1934, moza było stwierdzeń przerwania ograniczające wzywek. Było to zresztą już po rzeki 30 czerwca, a poważnie szeptało, iż nowa trawna została

przygotowana na listopada i twierdząco, że na tej nowej drodze znajdują się szereg wybitnych uczyńców. Wracając do zagadnienia pochodzenia człowieka podnieść należy, że w tej dziedzinie właściwy wynik badań naukowych ogranicza się do uświelenia smiel lub więcej niedokładnej ekalu podobieństwa poróżnionych przynatów pomiedzy sobą i do stwierdzenia, że szczątków człowieka nie ma zaliczono poróżnionych czwartorzędowych. Wszystkie epulacje opierają się natomiast na założeniu, że podobieństwo jest równoznaczne z pokrewiństwem. Do tej tezy można się ustosunkować bardzo różnie. W każdym razie jest ona dosyć daleko posuniętym uproszczeniem. Jest ono jednak zupełnie dopuszczalne, jeśli z tego nie wynika sprzeczności lub głupstwa. Tego oczywiście a priori przesądzać nie można. Za prawdę uważamy przecież taką fantazję, z której nie wynikałyby konsekwencje wnikające pas w sprzeczności, zarówno w dziedzinie teorii, jak też i praktyki. Niestety musimy się z nimi godzić przy prawdach objawionych przez eksperymentatorów społecznych.

Dawniej uważano dosyć powszechnie, że szereg form uporządkowanych w kolewności od prostszych ku bardziej skomplikowanym, stanowił szereg rodowodowy. Obecnie zwraca się baczną uwagę na to, że nie tak rzadko formy uważane za niższe, wykazują dalej posuniętą specjalizację niżeli formy uważane za wyższe, na przykład małpy w porównaniu z człowiekiem, lub Murzyn w porównaniu z białym. Powoduje to wielką ostrożność we wszelkich epulacjach rodowodowych, oczywiście na poważnym terenie naukowym. Na terenie popularyzacji jest natomiast zgola inaczej. Nawet przy przeglądaniu wydawnictw polecanych jako lektura szkolna można się spokoić z rzeczami bardzo zabawnymi. Nie znam naprawdę tej literatury, z tego jednak o siyśleam, odnośnie wyrażenia, iż nie dochodzi tam do tego rodzaju popularyzacji, z jakimkolwiek spókała się moja 11-letnia córka w roku 1940 w szkole. Dowiedziała się ona tam, że małpy przemieniały się w ludzi, gdy wskutek przesunięcia ziemi popadły z drzew i zostały zrzucone do chodzenia. JAN CZEKAŃSKI

JACEK WOŹNIAKOWSKI

ZE WSPOMNIENÍ O PRZYJACIELU

Mówiliśmy o tym, jak straszliwie absurdalną selekcją jest wojna: gład najlepší. I jak ciężka odpowiedzialność spada na żywych: podjąć trzeba trud tamtych, nie pozwolić, aby przeszła na nasze ich pracą i silą. Wymyśliliśmy takie hasło: "Ladnie przetrzy wojnę i nie dać się zabić". Śmiałośmy się z jego dziesięćmi naiwnością i z ukrytej sprzecznością, którą zawierało. Potem zgodziło się jakoś o małżeństwie holenderskim - cudowny Ver Meer - i nagle temat sam się zmienił, bo znacznie wyszły spominy drzew i gieni nie skłócenie pastwisko, które szerokim, zielonym hukłem obejmowało las. Ruszyliśmy krótkim galopem. "Patr, co za konia, - wołał Inio z zachwytem, - jak się zbiera; jak lewi!". Siedział na nim świetnie. Niewiele znalazł ludzi, którzy by tak dobrze jak on jeździli i tak dobrze wyglądali w siodle. Przy pierwszym zetknięciu umiował właśnie wyglądać: nieprzypartym wdziękiem, życiem i werwą, młodzieńczą, męską urodą. To było pierwsze wrażenie. Potem dopiero udalało się niezwykłej sugestii jego sposobu mówienia, sposobu myślenia, jego osobowości. Nie było w niej nic sztucznego, że przyswojonego, że doposażonego. Nawet kiedy Inio przejmował się czymś punktem widzenia, natychmiast zabrał tak skutecznie do obce pterwiestki: to, że właściwie tworzył całkiem nowe wartości. W takich rozmowach, kiedy to sława i myśl chodzą, jak piłki tenisowe - miało się nieraz wrażenie, że porywa myśl racjonalną i przesobala ją byskawicznie w kształt jedyni; oryginalny, własny - a potem odrzuca taką myśl, po swojemu przestworzoną.

Teraz, kiedy był zdrowy i mógł sobą w pełni rozporządzać, stawał problem jasno i zdecydowanie. Nie chodziło tu o zajęcie postawy wobec rzeczywistości. Postawa była jedna: walka. Chodziło o to: w jakiej formie i na jakim odcinku? Wiedzieliśmy: prędzej czy później - dla wszystkich - walka czynna i z bronią w ręku. Ale tymczasem na froncie wewnętrznym musieliśmy podzielić pracę. Partyzantka? Pyta! mnie o zdanie. Odradzałem. Jakis czas przedtem ośledzi się w Warszawie (do Zhydnowa) przyjechał tylko na wakacje, malował dużo, potapał ciekawie, pozytywne kontakty artystyczne i intelektualne. Uważałem, że to jest dla niego ważniejsze. On nie był całkiem pewien, gdzie jest istotnie jego miejsce. Przypominał mi nasze dawne hasło: "Ladnie przetrzy wojnę". Druga część tego hasła odpowiednio wymyślała się spod kontroli! A następnie, o ważniejsze: jeżeli ci, którzy chcą kiedyś stworzyć nowe życie, będą się oszczędzali dla przyszej pracy nad odnową, to kto właściwie tenż, pójdziesz? A w opóźnie - cóż to są za ludzie; jakie może być ich wkład - kiedykolwiek! - we wspólne dobro; ci, którzy by myślili o "oszczędzaniu się"; i wreszcie: trzeba przede potrenować przed ostateczną, końcową rozgrywką! Kiedyśmy się rozstawali, Inio zastanawiał się jeszcze. Potem poszedł do partyzantki.

karabinu maszynowego, strych zapełnił się gwizdami i brzęczeniem rakozęających pocisków. Chłopców owionęła gorąca smuga. Andrzej miał powierzchniowo przestraszona nogę. Inio był draśnięty w kark i w rękę. Jedna kula - tuż przed jego twarzą - odsokowała od stalowego okucia kula siodła. Potem była chwila ciszy. I znowu strychu w domu. Jedną z ostatnich poglą dwunastoletnia Haneczka Horodyńska.

nie - Fuller, bo miał ochotę na zhydnowy konicie i porcelanę. Zorganizował tę noc wspólnie ze swoimi przyjaciółmi z SS. Nie wiadomo nawet, czy podał im jakiś pretekst. Zalegalizowanie później tej "akcji" - to był drobiazg. W gruncie rzeczy: "czyn patriotyczny". Zniszczył prawie całą rodzinę. A wiadomo: każdy polski dom, to gniazdo oporu. Dziewięćstoletnie okno Spadkobierców nie bądzie (Niemiec nie wiedział, że Dömmnik, najstarszy syn, był wtedy w dworskiej na wchodzie), a Fuller zostanie Treuhänderem Zhydnowa.

* "Inio za mało umiał słuchać" - powiedział o nim ktoś. Ale słuchać umiał - i jakże bardzo umiał się przejmować. Tylko nie lubił zwlekać i nudzić. Mówił kolorowo i bujnie, pełno było zawsze oczyszczających porównań, nieoczekiwanych zestawień. Podobnie mówią tylko ludzie związani bardzo blisko z przyrodą, albo ze sztuką. Przyrroda i sztuka: to były właśnie jego żywoty.

* Miesiąc później wpadł znowu do Zhydnowa na ślub swojej kurzynki, Wańkowiczówny. Podczas obiadu niemieckie auto wjechało do parku, luła karabinu maszynowego sterzająca w niebo. Auto objechało szybko gazon i zniknęło. Goście zabaczyli się przez okna jadalni. Wtedy Inio wstał i wniósł toast, mniej więcej tak: "Siedzimy przy stole i wyobrażamy sobie moza, że udziśzisz wesele, to - bodaj chwila - nasza rzeczywistość. Musimy sobie zdać sprawę, że tak nie jest. Rzeczywistość ukazała się nam - przez sekundę - za oknem. Nie wolno nam o niej zapominać". Cien pał na zebranych.

* Noc była długa, jak wieczność. Potem przetrzało zaczęło nasikać jasnością. Wstawał dzień. Przed drzwiami między dachówkami świrowało słońce. Na podwórku zgagały kurzy, zagęstyły gęś. "Cip cip, wołala stara szafarka, cip cip, tu tu tu maluciki!" I slychać było poruszenie wśród drobiu kiedy sypnęła ziarno. To było straszne. Ten wyczerpany, całkiem zwyciężony dzień, wstawający nad przerażeniem pustym, zupełnie innym światem. Inio skupił się cały w jednej jedynej myśli: "Muszę żyć. Jeżeli mam Pań Bóg dotychczas ocenił, widocznie mam jeszcze coś do spełnienia. Muszę żyć". Trzymał się tej świadomości, żeby nie oszaleć. Czuli, że daje mu uspokojenie i się do przewrta. Andrzej był bardzo ostabionym utratą krwi i zupełnie zlamany.

Przeżyła noc - i znowu dzień. Coraz bardziej męczyło ich pragmatyzm. Próbowali żuć herbatę, którą znaleźli w jedynym z wozczków. Potem zamknięli papierosa. Zakreśliło im się w głowach. Dym zakłócił w wąskiej przestrzeni i cieniutki strużkami zaczął przeciekać na strych. W tej chwili wziął ten Niemiec. To był koniec. Ale Niemiec zobaczył w kącie strychu kilka skórek zrebnych, slychać było jego zadłowane pomruki, kiedy gwizdał i w zabrał na dół. W pokoju na pierwszym piętrze cagle ktoś siedział. Czyścił broń, grał w karty.

* Ten nasz spacer konny, to był ostatni mój pobyt w Zhydnowiu. Miesiąc później nastąpiła katastrofa.

Praktykanci i wysiedleni, fotografie z konkursów hipicznych, peki eteków i szpicrut w halu, pisma fachowe, książka - przeważnie z zakresu historii, jeszcze gdzie niedługo przed wojenną naboże do strzech, w pokoju Inio znowy, płótna, farby, intensywna praca od rana, przepłatanie wyrubami gwarnej wesołości, kiedy wyznaczają; i z towarzysku, z pola, od ezultatu i książek - skupiały dokoła drugiego soboty pokłki, pod baczny okiem cichej i mądrej pani domu. Taki został m w oczach Zhydnowu.

* Prześłała noc - i znowu dzień. Coraz bardziej męczyło ich pragmatyzm. Próbowali żuć herbatę, którą znaleźli w jedynym z wozczków. Potem zamknięli papierosa. Zakreśliło im się w głowach. Dym zakłócił w wąskiej przestrzeni i cieniutki strużkami zaczął przeciekać na strych. W tej chwili wziął ten Niemiec. To był koniec. Ale Niemiec zobaczył w kącie strychu kilka skórek zrebnych, slychać było jego zadłowane pomruki, kiedy gwizdał i w zabrał na dół. W pokoju na pierwszym piętrze cagle ktoś siedział. Czyścił broń, grał w karty.

Przeżyła noc - i znowu dzień. Coraz bardziej męczyło ich pragmatyzm. Próbowali żuć herbatę, którą znaleźli w jedynym z wozczków. Potem zamknięli papierosa. Zakreśliło im się w głowach. Dym zakłócił w wąskiej przestrzeni i cieniutki strużkami zaczął przeciekać na strych. W tej chwili wziął ten Niemiec. To był koniec. Ale Niemiec zobaczył w kącie strychu kilka skórek zrebnych, slychać było jego zadłowane pomruki, kiedy gwizdał i w zabrał na dół. W pokoju na pierwszym piętrze cagle ktoś siedział. Czyścił broń, grał w karty.

